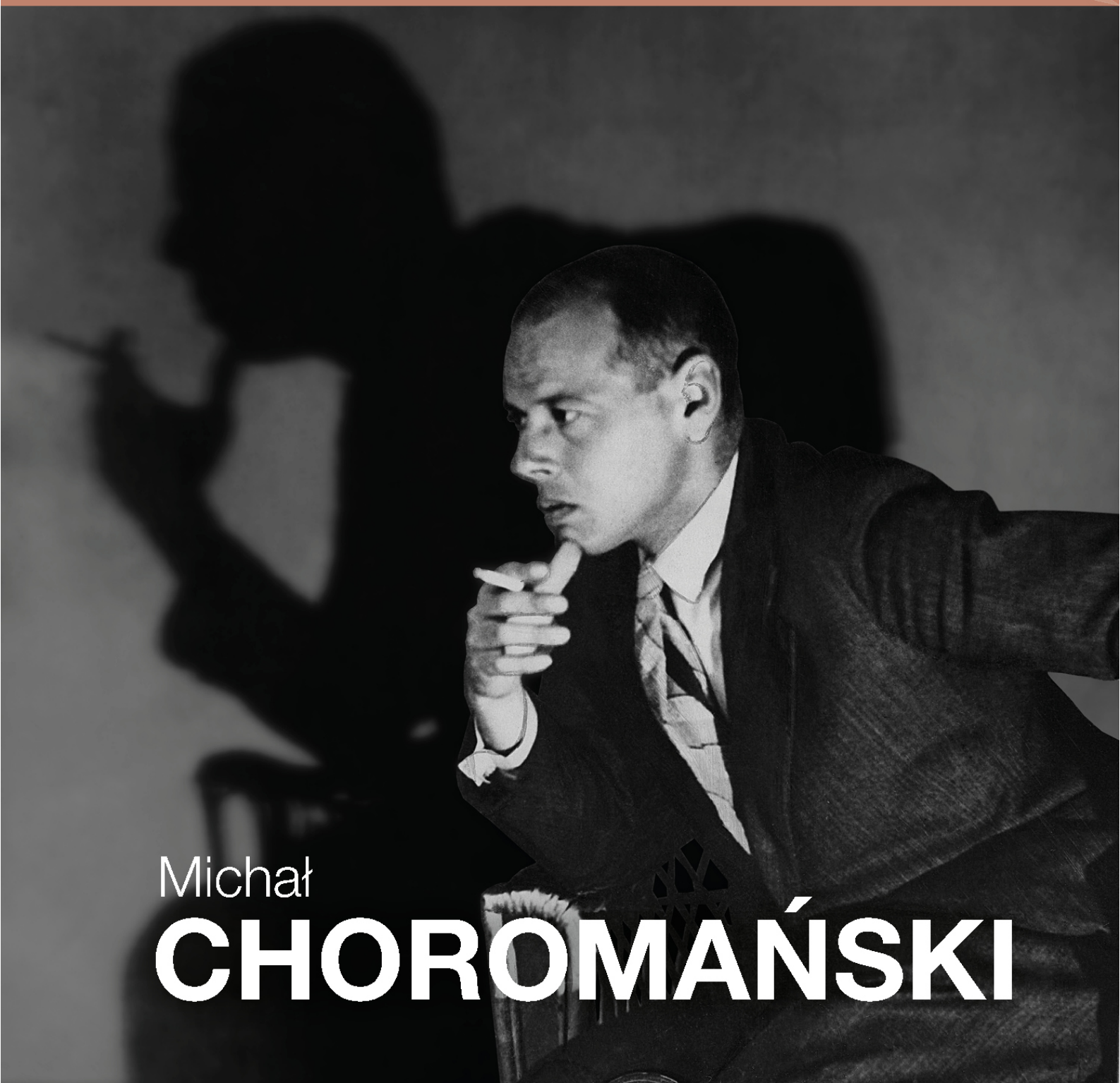


W rzecz wstąpić

Michał

CHOROMAŃSKI



Michał Choromański

W RZECZ WSTĄPIĆ

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-63-0

Copyright © Michał Choromański

Tekst: Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1968

Projekt okładki: Marcin Labus

Spis treści

WSTĘP

RZECZ

DZIENNICZEK SIOSTRY

UŚMIECH

SPLÓT WYPADKÓW

NOC

DODATEK

WSTĘP

Przydarzyła mi się, czy też spotkała mnie, pewna rzecz. A właściwie pewna rzecz pewnego dnia poczęła istnieć we mnie. O tej rzeczy nie mogę powiedzieć od razu, bez żadnego wstępu. Byłaby niezrozumiała i nie wywarłaby tego wrażenia, jakie zdaniem moim powinna wywrzeć na każdym, przeciętnie nawet inteligentnym człowieku. Poza tym rzecz ta, mimo swej dziwaczności, na pozór jak gdyby wiele nie znaczyła. Dopiero w zestawieniu z życiowymi faktami, z normalną ludzką psychologią, nabiera ona szczególnych i – chciałoby się nawet powiedzieć – złowrogich rumieńców.

Więc zacznę od tych faktów, w możliwie treściwy i beznamiętny sposób. Tak jak gdybym był lekarzem, który spisuje czyjąś anamnezę. Tu zaznaczam co prędzej, że rzecz będąca przedmiotem niniejszych mych zwierzeń nie ma nic wspólnego z medycyną. Jednakże nie zaszkodzi na wszelki wypadek zajrzeć właśnie z medycznego punktu widzenia na moje rodzinne stosunki.

A więc zacznę od tego, że się przedstawię. Nazywam się Dominik Mniejsza i mam żonę, Ludwikę Mniejszynę, której powierzchowność... zresztą powierzchowność jej w tej chwili pozostawmy w spokoju, na razie to nie ma znaczenia. Rzecz dzieje się w roku pańskim 1938, częściowo w Mławie, częściowo w Warszawie, ale przeważnie w Zakopanem. No i też na malutkim stateczku transatlantyckim. Mam lat dokładnie trzydzieści pięć i jestem zupełnie zwolniony od służby wojskowej z powodu reumatyzmu, który w dzieciństwie usztywnił mi nogę w stawie skokowym. Wzrok mam dobry i okularów nie noszę. Uchodzę za bardzo przystojnego blondyna, o nieco em-es-zetowskiej urodzie – mogę to z perspektywy spokojnie wyznać – i o pewnym wewnętrznym wabiku, który od czasu do czasu z siebie wypuszczam, by zdobyć sobie serce jakiejś niewiasty. Oprócz reumatyzmu chorowałem w dzieciństwie, o ile wiem, na szkarlatynę, koklusz, wietrzną ospę i na świnkę. Waga moja odpowiada memu wzrostowi – liczę sobie metr i siedemdziesiąt dziewięć. Piję w miarę i palę w miarę. Mam siostrę, młodszą ode mnie o trzy lata, zupełnie zdrową kobietę, która poza szkarlatyną, świnką, kokluszem itp., czyli poza zwykłym asortymentem chorób dziecięcych – na nic nigdy nie cierpiała.

Rodzice moi byli również zdrowymi ludźmi, matka odumarała mnie w roku 1927, raczej przypadkiem, po nieudanej operacji ropnego zapalenia wyrostka robaczkowego. Żadnej choroby dziedzicznej ani żadnej gruźlicy, kiły, alkoholizmu czy psychicznych nienormalności w mojej rodzinie nigdy nie było. Ojciec mój, stary Stanisław Mniejsza, zmarł w Mławie niemalże przed opisywanymi tu wypadkami na zapalenie płuc, którego nabawił się przez kąpiel w jeziorze bardzo wczesną wiosną, gdy łód ledwie stopniał, i przy wielkich chłódach. Był to bardzo zahartowany staruszek i miał za regułę kąpać się w tym jeziorze codziennie od wczesnej właśnie wiosny począwszy, aż po listopadowe prawie mrozy. Tego hartu jednak i reguły nie można uważać za coś nienormalnego. Jak długo pamiętam ojca, zawsze stanowił dla mnie wzór człowieka z zasadami, żywy przykład, do czego w życiu można dojść, stosując się do przepisów zawartych w systemie szwedzkiej gimnastyki Millera: 15 minut dla zdrowia. Nie palił i nie pił, i ustosunkowywał się do wszystkiego poniekąd jak sportowiec czy gimnastyk. Znacznie starszy od mej matki – był emerytowanym sędzią Sądu Najwyższego, i ostatnie lata swego życia spędził w Mławie, w wynajętym domku z dużym ogrodem, tuż przy wspomnianym powyżej jeziorze.

Jednakże na kilka miesięcy przed śmiercią w jednostajnym i uregulowanym jego życiu zaszedł pewien drobny wypadek, który przytoczę, bo kto wie – może coś znaczył, może czegoś dowodził, może był symptomatyczny? W każdym razie dla mnie osobiście był to wypadek nader podejrzany. Otóż domek wynajęty przez ojca mieścił się nad urwiskiem – zasadzonym drzewami – i stał poniekąd na uboczu od innych sąsiednich domków. Pewnego dnia przez otwarte okna wlał z ogrodu do gabinetu ojca jakiś, przyjezdny prawdopodobnie,

złodziej. Usłyszawszy podejrzane, niecodzienne szmery w swym gabinecie, ojciec wstał z krzesła – a siedział przedtem w jadalni – i otworzył prowadzące do gabinetu drzwi. Nacisnął klamkę, a właściwie tylko je uchylił.

Niemiły widok ukazał się wtedy jego oczom: olbrzymie indywiduum, w połatanej na łokciach marynarce, stało doń tyłem i trzymając w rękach jakieś narzędzie, usiłowało podważyć szufladę biurka. Moc papierów i starych listów leżało już na podłodze. Indywiduum było bardzo przejęte swą fachową, złodziejską pracą i faktu, że ktoś go z tyłu obserwuje, nie zauważyło. Znając ojca, jego poniekąd władczy, zdeterminowany charakter, można było łatwo domyślić się zakończenia tego incydentu. Normalnie bowiem ojciec byłby wszedł do pokoju, bez cienia obawy o bezpieczeństwo własne, raczej pełen gniewu i oburzenia. Byłby zawołał coś głośno i rozkazującym tonem. Na jego głos byliby się zbiegli sąsiedzi i domownicy. Ale tego popołudnia zaszła pewna anomalia – a było to mniej więcej po obiedzie, o trzeciej. Z niewytłumaczalnych, a w każdym razie – z nie wytłumaczonych powodów ojciec delikatnie i bezszelestnie przymknął drzwi, by potem za progiem parokrotnie kaszlnąć.

Minęła minuta, druga. Z gabinetu wciąż dochodziły niecodzienne dźwięki – widocznie przejęty swą pracą złodziej tych kaszlnięć nie słyszał. Wtedy ojciec mój zaczął bardzo hałaśliwie szurać nogami o podłogę i kaszleć tak głośno, jak gdyby go chwycił jakiś atak astmy. To wreszcie poskutkowało i niecodzienne szmery w gabinecie ucichły. Kiedy ojciec mój po raz wtóry otworzył drzwi, pokój był już pusty. Tu znowu zaszła pewna nienormalność. W biurku ojca, bodajże w tej samej szufladzie, do której usiłował się włamać złodziejasek, zawsze leżał nabity browning. Znając ojca dobrze, można byłoby przypuścić, że wnet otworzy szufladę kluczem, który miał w kieszonce swej letniej kamizelki, wyjmie rewolwer i wystrzeli w ślad za zmykającym przez ogród indywiduum. Wystrzeli na postrach, by go zatrzymać i obezwładnić. Ojciec był surowym sędzią i nieco bezwzględny człowiekiem. Ale tym razem nic podobnego nie zaszło, a raczej zaszło nawet coś wręcz przeciwnego. Ojciec podszedł do otwartego na ogród okna i patrząc na migającą między pniami i listowiem sylwetkę złodzieja – zaczął się uśmiechać. Kiedy pani Władysława, sędziwa gospodyni ojca i jego daleka kuzynka, weszła do gabinetu tknięta jakby niedobrym przecuciem – ojciec wciąż się uśmiechał.

– Czego ty się uśmiechasz? – spytała. – Boże, co się tu dzieje na podłodze? Skąd taki nieporządek? I dlaczego od tej szuflady odłupano kawałek lakieru?

– Ano – odpowiedział ojciec – przed chwilą był tu złodziej. O, patrz przez okno. Tamtędy uciekł. Zniknął teraz za tą brzošką!

– Boże! Złodziej?! Ratunku!... – zawołała pani Władysława. Lecz natychmiast potem coś ją w ojcu moim znowu uderzyło – uderzyło tak bardzo, że przygoda z włamaniem odeszła na drugi plan. Szeroko rozwarła usta. – Powiedz mi, wytłumacz, Stasiu, co ci się stało, że masz taki... taki wniebowzięty wygląd?

Otóż, o ile mi wiadomo, ojciec pozbył się jej nalegań i wypytywań jakimś półzartem. Ale mi osobiście cały ten wypadek wydaje się nader, nader podejrzany. Nie podoba mi się ten wypadek, krótko mówiąc – nie podoba mi się bardzo. Niestety pani Władysława (ja jej nigdy ciocią nie nazywałem) długo ojca nie przeżyła, umarła wkrótce na raka, który zaatakował jej kobiece organy. Pech doprawdy, bo gdyby żyła w okresie, gdy owa rzecz, owa osobliwa rzecz mnie spotkała i w którą ja wstąpiłem, może bym czegoś od niej się dowiedział. Jakichś szczegółów, jakichś drogowskazów. A tak pozostałem tylko z własnymi domysłami. Ale do tego wypadku z ojcem jeszcze nieraz mam zamiar w przyszłości powrócić.

Tymczasem złożyło się tak niefortunnie, że nawet na pogrzebie swego ojca być nie mogłem, nie mówiąc o tym, że do Mławy prawie nie dojeżdżałem. Aczkolwiek z wykształcenia jestem niedouczonego polonistą, w opisywanym okresie miałem już posadę w centrali naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Od czasu do czasu wysyłano mnie z tą lub inną skromną misją za granicę, i klepsydrę o śmierci ojca znalazłem na stronach „Kuriera Warszawskiego”, będąc ni mniej, ni więcej, tylko w Buenos Aires. O tej podróży do Argentyny opowiem trochę obszerniej, bo ludzie, których w czasie niej poznałem, złączyli się poniekąd z moją przyszłością, no i dlatego, że rzuca ona (ta podróż) pewne światło na mój charakter i przyzwyczajenia. Światło ze wszech miar niekorzystne – chociaż zaznaczyć muszę z góry, że nie byłem człowiekiem o wiele gorszym od innych.

Tu muszę zrobić małą pauzę i dodać, że mam organiczny wstręt przed wywnętrzaniem się, przed wywlekaniem z siebie wszelkich intymności, przed psychicznym ekshibicjonizmem. Cóż, kiedy ta przekłeta rzecz zmusza mnie do mówienia otwarcie nie tylko o szczegółach mej biografii, lecz nawet o moich wadach. To ostatnie jest już czymś całkiem obrzydliwym. Po prostu nie wyobrażam sobie, czy i jak potrafię opowiedzieć o sobie, że na przykład w pewnych okolicznościach postępowałem nieuczciwie – nieuczciwie w najgorszym znaczeniu tego słowa, bo w pieniężnym. Lub że zachowywałem się niekiedy jak ordynarny dziewczarz i człowiek o złych manierach. Niestety, muszę się z tego wszystkiego wypowiadać, innymi słowami: wyprać publicznie swoją własną bieliznę – bo w przeciwnym razie rzeczy, która się ze mną stała, nie będzie można ani zrozumieć, ani ocenić w całej jej rozciągłości. W całej rozciągłości! Zależy mi na tym, aby ujawnić ją do samego dna i od A do Z. Dziwna to rzecz, ciemna i poniekąd straszna, ale rozgryźć ją i zasmakować w jej ciemni można dopiero wtedy, gdy się ma w garści wszystkie fakty, jak najwięcej faktów.

Płynąłem więc do Buenos Aires naszym polskim statkiem – pamięć mnie zawodzi, czy to był „Kościeszko”, czy to był „Pułaski”. Niewielki stateczek transatlantycki miał na górnym pokładzie co najwyżej kilkanaście kabin pierwszej i drugiej klasy. Słynął z kuchni, i stoły w messie ugięły się od przekąsek, przystawek, od łososi, zajęcy i bażantów z papierowymi ogonami. Siedziałem przy stole kapitańskim, jako osoba prawie oficjalna, i po odpłynięciu z Gdyni poznałem przy kolacji swoich przyszłych współtowarzyszy podróży. Od razu nos mój skierował się na trzy kobiety. Mówię: nos, bo taki był mój ówczesny, wulgarny styl.

Pierwsza kobieta – żona jednego z dyrektorów Banku Polskiego w Buenos Aires – nazywała się Barbara S. Pani dyrektorowa. Miała lat chyba trzydzieści i kilka, zadziorny profil i pyszne, prawie czarne włosy. Jak to się często z czarnymi włosami zdarza, były one w dotknięciu szorstkie i trzeszczały. Nos mój zwrócił uwagę na to, że śmieje się ona dwuznacznym półgębkiem. Miała poza tym pewną właściwość, prawdopodobnie alergiczną: rumieniąc się, rumieniła nie na twarzy, lecz na podgardlu. Po prostu w chwilach zakłopotania występowały na jej dekolcie ciemnopurpurowe plamy. Była jednak bardzo apetyczna.

Druga kobieta była młodziutkim, być może osiemnastoletnim stworzeniem, o lnianej główce przypominającej obrazy Vlastimila Hofmana. Było to połączenie aniołka z chłopskim dzieckiem, połączenie, które – wobec rozwiniętego biustu tej dziewczyny – wydawało mi się bardzo pikantne. Na imię jej było Wiktoria, czyli Wisia. O ile śmieszek dyrektorowej S. jakby mówił: „A więc do dzieła, panowie, kto spróbuje mnie wziąć?” – o tyle panna Wisia swym zawstydzonym uśmiechem wyrażała prośbę: „Owszem, zgadzam się na wszystko, ale proszę bardzo mnie nie pognieść”.

Jak wynika z powyższych opisów, miałem podówczas stosunek do kobiet nie tylko wulgarny, lecz i nacechowany złością. Nie chcę się usprawiedliwiać i nie po to, to wszystko piszę – ale przypuszczam, że samo życie zaważyło jakoś na tych sprawach. Im gorszy bywałem w stosunku do kobiet, tym lepsze wywierałem na nich wrażenie; zauważywszy to,

rozmyślnie otwierałem w sobie jakąś klapę i dawałem upust swej złości. Nie mogę też powstrzymać się od uwagi, że złość i niemoralność bardzo często podniecają kobietę fizycznie. Chociaż bywają... bywają piekielne paradoksy.

Ale to wszystko marginalia. Zresztą obawiam się, że cała zamierzona przeze mnie spowiedź jest jednym olbrzymim marginesem tej unikalnej rzeczy, która mi się w roku 1933 przydarzyła. Jakkolwiek jest, kontynuuję swój opis podróży do Argentyny.

Więc już przy kolacji zwróciłem uwagę na trzy pasażerki, lecz dotąd opisałem tylko dwie: dyrektorkę S. i pannę Wisię. Wymieniłem je najpierw, bo obie były kobietami zachęcającymi do specyficznych myśli. Sam ich widok jakby łaskotał mnie, skłaniając do afektowanego zachowania się, którym usiłowałem zwrócić na siebie ich uwagę. Obecność atrakcyjnej kobiety zawsze była dla mnie bodźcem, rozwiązywała mi język lepiej niż alkohol. Natomiast w towarzystwie męskim przeważnie się nudziłem. Ale czy byłem naprawdę zawodowym kobieciarzem? Istniały we mnie niedociągnięcia świadczące, że byłem raczej uwodzicielem połowicznym. Te moje niedoskonałości i mankamenty polegały na tym, że ładna a trudna do zdobycia kobieta mnie po prostu nie interesowała. Przypuszczam, że dla stuprocentowego spódniczkarza taka kobieta byłaby, przeciwnie, gratką nie lada, wielkim dopingiem do herkulesowych trudów. Ja zaś nigdy nie fatygowałem się w wypadkach zbyt wielkich przeszkód stawianych mi przez Piękno – Piękno obdarzone nogami, piersiami i klasycznym nosem.

Z drugiej strony, im dłużej się teraz nad tym zastanawiam, tym bardziej zaczyna mi się wydawać, że niedostępna piękność jest swego rodzaju dziwołagiem, wypaczeniem być może fizycznym, przeto zdrowego człowieka instynktownie odpychającym. Niestety, wspomniana niechęć do zbytowego fatygowania się uniemożliwiła mi autopsję, praktyczne poznanie jakiegokolwiek nieprzystępnej kobiety. Wobec tego faktu wolno mi wyrażać tylko supozycje.

O tym, czy kobieta jest łatwa do zdobycia, czy też trudna, wiedziałem zawsze – można powiedzieć: z miejsca. Łatwości przy tym niekoniecznie towarzyszy śmiech, rozbawienie i skłonność do flirtu. Znałem kiedyś pewną panią, niezwykle wesołą, jeżeli nie swawolną, uwodząco kokieterijną – która zarazem nastręczała tyle kłopotów i trudności, że można było osiwieć. Flirt z nią przypominał zagłądanie do otwartej lodówki. Wątpliwa przyjemność.

O trzeciej pasażerce, wyróżniającej się spośród innych, wspominam na samym końcu, bo właściwie interesowała mnie nie jako kobieta, lecz jako człowiek. Była to wyjątkowo barwna osobowość. Miała płomienną fryzurę i jak wszystkie rude, ubierała się w różne fiolety. Używała moc pudru i różu. W uszach jej, na rękach i na piersi połyskiwały brylanty i perły. Nazywała się Aurora Krupek i była Brazylijką polskiego pochodzenia. Sądząc po twarzy miała lat sześćdziesiąt, sądząc z figury – najwyżej czterdzieści.

Gdy byliśmy w pobliżu Wysp Kanaryjskich, zaczęły się wielkie upały, panie więc chodziły po pokładzie w letnich sukienkach, w batystach i koronkach, natomiast kapitan i załoga włożyli swe tropikalne mundury. Na Atlantyku wokoło nas koziółkowały delfiny. Niestety, nie miałem białego ubrania i musiałem się męczyć czy to w brązowym, czy to w granatowym, uszytym jednakże z pierwszorzędnego samodziła leszczkowskiego. Pewnego dnia o purpurowym zachodzie słońca zawinęliśmy do Dakaru. Ponieważ statek nasz miał stać zakotwiczony do wczesnych godzin rannych, uzyskaliśmy od kapitana zezwolenie na zejście na ląd i spędzenia tam wieczoru i części nocy.

Pasażerowie zeszli po trapie i małymi grupkami udali się do miasta. Panna Wisia szła z jakimś starszym państwem, ale w pewnej chwili przystanęła, by obejrzeć wystawę z damskimi fatałaszkami. Jako że Dakar to francuska kolonia, fatałaszkami były paryskie. Za lustrzaną szybą stały dwa kobiece manekiny w intymnym, niemal pornograficznym dezabilu,

ale w korkowych hełmach na głowach. Wykorzystałem okazję i cicho, niczym demon lub operowy Mefisto, przystanąłem obok Wisi.

– Dziecko – zacząłem półgłosem.

Odwróciła ku mnie z pewnym zdumieniem swą twarzyczkę, przypominającą Wlastimila Hofmana.

– Czy pan to do mnie, panie radco?

– A jakże, do pani – ciągnąłem paskudnym szeptem. – Chcę pani coś zaproponować. Tylko niech się pani zdecyduje szybko.

– A co?

– Nie ma nic nudniejszego od zwiedzania cudzoziemskiego miasta gromadą. Proponuję pani spędzić dzisiejszy wieczór ze mną tête-à-tête. Ale uprzedzam, jeżeli pani się zgodzi, to potem gorzko tego pożałuje. Bo ja jestem złym człowiekiem.

Była tym tak zaskoczona, że dopiero po pauzie się roześmiała.

– To brzmi bardzo zachęcająco. Ale gdzie my mamy to tête-à-tête spędzić?

– Przede wszystkim skróćmy w tę boczną uliczkę, by się rozstać z resztą naszego towarzystwa i zatrzeć za sobą ślady. Chodźmy na prawo. Chodźmy – rzekłem i wziąłem ją pod rękę. Nie opierała się.

W tej chwili słońce widocznie zaszło, bo nagle znaleźliśmy się niemal w kompletnych ciemnościach. Światło, które natychmiast potem zapaliło się w oknach domostw, oraz uliczne latarnie jak gdyby tylko potęgowały ten afrykański mrok. Akurat za rogiem stało kilka taksówek.

– Czy jest w Dakarze jakaś przytulna restauracja na świeżym powietrzu lub podmiejski nocny dansing? – spytałem po francusku czarnego kierowcy. – Ami, hein, ami?

– La Pergola – odpowiedział i łysnął w czerni zębami. – To kilka kilometrów za miastem. Niemal na skale, na samym brzegu oceanu.

– No, to jazda! – zawołałem i usiadłem na tylnym siedzeniu obok panny Wisi.

Żar był potworny. Przy oddychaniu wydawało mi się, że połykam iskierki ognia. Pierwsze zetknięcie się z dakarskim powietrzem przypomina kurację uderzeniową. Oszołomieni, po kilkunastu minutach jazdy siedzieliśmy już przy ogrodowym stoliku na olbrzymiej skale, u której stóp rozbijały się fale. Ocean huczał. Proszę nie oczekiwać po mnie opisów przyrody, ale będę próbował, co mogę. Wszedł żółty księżyc, rysując na wodzie fosforyzujący znak przypominający pytańnik. I tyle na razie. Zamówiłem zamrożony wermut z dżinem.

– Jestem złym człowiekiem – powtórzyłem i popatrzyłem z początku na dziecięce wargi Wisi, zaledwie tylko podmalowane, a potem na jej imponujący biust.

– Pan już to mówił, panie radco. Ale ja się pana nie boję.

– Kobiety nigdy się nie boją złych mężczyzn.

– A w jakim sensie pan jest zły, panie radco?

Mrożony alkohol wydaje się nam zazwyczaj słabszy, niż jest w istocie, wypić więc swój koktejl prawie duszkiem. Zerknąłem na wypróżniony kieliszek i obliczyłem, że takich kieliszków potrzeba będzie co najmniej pół tuzina. Co robić? Zależało mi na tempie. Nie mogłem przecie wołać bez przerwy kelnera, by raz po raz przynosił do nas te kolejki koktejlów. Wermut z dżinem więc odpadał. Zamiast niego zamówiłem butelkę szampana.

– Chcę pani coś powiedzieć, panno Wisiu!

– A co takiego?

Popatrzyłem jej w oczy, wyzwoliwszy z siebie swego wabika – nigdy siebie w lustrze w takich momentach nie oglądałem, więc nie wiem, jaki był mój wzrok. Ale przypuszczam, że był równie paskudny jak mój szept. Potem popatrzyłem na jej dekollet.

– Ale przedtem musimy wypić tę butelkę do dna.

– Całą butelkę?! – zawołała.

– Szampan to prawie to samo co lemoniada – odrzekłem uspokajająco.

Ja, zdaje mi się, nawet nie znałem jej nazwiska. W każdym razie nie mogę go sobie przypomnieć, ani rusz! Nie, chyba naprawdę nie znałem. Co to mnie zresztą obchodziło? Twarzyczka jej wciąż wyrażała: „Zgadzą się, ale proszę bardzo mnie nie potargać!” – i to mi wystarczało. Od współtowarzyszy podróży i bodaj od samego kapitana słyszałem jednak o Wisi całkiem inną opinię. Lnianowłose polskie dziecko. Cacy, cacy. Maturzystka gimnazjum imienia Emilii Plater w Warszawie. Wzór dobrego wychowania, och, pan rozumie, pan wie jakie to cenne w obecnych czasach! Płynie do Buenos Aires, do przyszłej teściowej i szczęśliwego narzeczonego, kuzyna imieniem Buba, pracującego w charakterze księgowego w argentyńskim oddziale naszego PKO. Pierwszy raz opuszcza Polskę bez taty i mamy... Nasz dość tęgi kapitan, skłonny do staroświeckich reweransów, ilekroć przesuwiał się po pokładzie obok jej leżaka zawsze pytał z kresowym akcentem: „Nu, i jak tam znaczyć miewasz się, nasza córeczka?”

Teraz siedziała naprzeciwko mnie w swej koronkowej sukience bez rękawów, nic nie rozumiejąc, aczkolwiek na coś czekając. Lampiony zawieszone wokoło nas na słupkach rzucały poświatę na jej gołe ramiona, co jeszcze bardziej uwydatniało czarną linię głębokiego dołka między jej piersiami. O rozmiarach tych piersi już wspomniałem. Wciąż miała sucho w gardle, więc piła ten przyniesiony szampan naprawdę jak wodę sodową. Łyk, łyk, i znowu łyk. Aż mnie to zaniepokoiło: butelka była już prawie pusta, a lniana główka Wisi wciąż pozostawała trzeźwa. Bez przerwy mówiła do mnie: „panie radco.” Wtedy postanowiłem sprawę przyspieszyć. O tym, jak to zrobiłem, piszę ze zrozumiałym wstrętem.

Tak, wyznaję, postąpiłem po chamsku. Ale, gdy biję się teraz w piersi, myślę zarazem, że świńskie postępowanie moje było w swej istocie czymś nader normalnym i dla mężczyzn nawet codziennym. Podkreślam, że mówię to ogólnikowo, nie wytykając, broń Boże, palcem, na co zresztą moja rzecz nigdy by mi, psiakrew, nie pozwoliła. Jednakże może lepiej w ogóle nie porównywać, nikogo z nikim, i o innych mężczyznach wcale nie wspominać? Biorę winę na siebie, mea maxima culpa!

Na czym więc polegał mój niezdolny czyn? Kelner, który z serwetką kręcił się w pobliżu, nawet otworzył usta, kiedy poprosiłem go by – panie, tego – przyniósł nam koniaku.

Comment? Jak? Przecież dopiero co nas obsłużył?

Wyjął butelkę z szampanem z platerowanego wiaderka i popatrzył pod światło: płynu pozostało już niewiele, ale wystarczyłoby na parę kieliszków. Pokręcił głową. Był to nastroszony, krępy Francuz, z białymi wąsami przypominającymi Clemenceau. Posłusznie jednak oddalił się i wrócił z koniakiem w dwóch okrągłych kieliszkach, tak ogromnych, że koniaku prawie nie było widać. Wtedy do kieliszka Wisi wylałem resztę niedopitego szampana.

Do swego zaś nie dolałem nic. Na pytanie Wisi, dlaczego – odpowiedziałem, że wolę czysty koniak i że napój, który dla niej sporządziłem, jest damski. Słyszałem, jak staruszek kelner aż jęknął: „O la la!” Jego clemenceauskie wąsy zwiły mu na wargi.

Czego się właściwie przeraził i czy było w tym coś strasznego? Było. Bo nie wiem, czy państwo pili kiedy koniak połączony z szampanem. To nieludzka, monstrualna siła. Wyzwała z siebie tyle energii, że można wznieść się wraz z krzeselkiem restauracyjnym i wzlecieć w niebo. Nie użyłem zresztą właściwego porównania, bo zakrawa ono na żart, a w tym wypadku tylko powaga, karcąca powaga byłaby na miejscu... Tu dodam, że w ogóle mój stosunek do dowcipu i dowcipkowania zmienił się, że od czasu, gdy uplasowała się we mnie wspomniana rzecz, zacząłem niezwykle podejrzliwie odnosić się do ludzkiego śmiechu i w ogóle do wszystkich tak zwanych śmiesznych tematów. Cóż dopiero, gdy opowiadam o swym brzydkim wypadku z Wisią!

Trudno mi wyjaśnić, dlaczego wypity z początku wermut z dżinem, a potem pół butelki szampana, nie podziałały na nią od razu. Niekiedy nie przyzwyczajony do alkoholu osobnik reaguje nań wolniej. Natomiast to, że tak lekkomyślnie mi się nie opierała, tłumaczy się prosto: afrykańską spiekotą. Napoje były takie chłodne, przynosiły przy picu tyle ulgi! Ja sam wstrzymywałem się z trudem, żeby nie zrobić kilku dużych haustów.

Ale wstrzymywałem się, ponieważ miałem swe plany. Czytajcie te słowa panie, a zwłaszcza panowie (którzy nieraz przy uwodzeniu dziewcząt widzieli w alkoholu swego sprzymierzeńca), domyślają się już, o jakich planach mówię... Ciągłe się śpieszyłem. Pamiętałem bowiem, że do odpłynięcia statku zostało nam właściwie niewiele godzin. W stosunku do Wisi więc wybrałem taktykę jak najbardziej obcesową.

W ciągu tych paru kwadransów, gdy piliśmy szampana, bawiłem ją rozmową, w odległy sposób potrącając o tematy erotyczne. Oto próbka. Powiedziałem jej o tym, że kobieta to fortepian, na którym trzeba umieć grać. Że nieucy bębnią po nim zazwyczaj jednym palcem i że tylko wybrani mężczyźni potrafią wydobyć z klawiatury jej ciała wszystkie akordy i nuty, do których jest zdolna – zdolna, mimo że może sama siebie o to nie podejrzewa.

– Zresztą nieprawda! – zawołałem w pewnym momencie, wywracając odpowiednio oczami. – Każda dojrzała do miłości kobieta wie o ukrytych w sobie klawiszach, wie, na co ją stać w miłości i rozkoszy. Mężczyźni natomiast, czy to kochankowie, czy to mąż lub narzeczony – nie zdają sobie sprawy z ukrytych strun miłosnych swej bogdanki. Kobieta w ich towarzystwie właściwie pozostaje samotna, niczym zamknięty fortepian bez grajka. Zresztą, czy jakiś urzędniczy pocztowy lub bankowy – dokończyłem już całkiem aluzyjnie – może być takim grajkiem?

Chociaż w czytaniu tyrada ta wygląda Bóg wie jak tanio, w praktyce przynosiła mi zawsze plony. Trzeba tylko umieć ją wygłosić w należytym uwodzicielskim sposobie, z aksamitną intonacją głosu, tudzież z głębokim współczuciem dla wchodzącej w grę kobiety. Często stosowałem tę metodę i ani razu mnie nie zawiodła. Bo w gruncie rzeczy dowodzenie moje, acz ujęte w trywialną formę, opierało się na prawdzie. Doświadczenie pouczało, że każda kobieta, zwłaszcza przyzwoita, wie o sobie w istocie, że jest niedokochana, albowiem czuje w swym ciele możliwość znacznie większych wstrząsów miłosnych od tych, których dostarcza jej wybrany. Wystarczy jej tylko o tym powiedzieć, żeby to sobie uświadomiła i... na swego współrománwce – w tym wypadku na mnie – spojrzała z zainteresowaniem. Trywialność formy, struny, fortepian, akordy – bynajmniej jej nie peszą. Z całkowitą pewnością wyczuwałem, że Wisia w tej chwili mimo woli porównuje mnie ze swym narzeczonym, z tym kuzynem Bubą, i ze zdziwieniem stwierdza, że coś w mych słowach jest – coś, co pokrywa się z jej nieświadomym nienasyceniem uczuciowym. W każdym razie Buba, urzędnik PKO w Buenos Aires, z pewnością nie jej o fortepianie nie mówił i prawdopodobnie w istocie tylko bębnił tam i ówdzie palcem. Więc słuchała mnie z poszerzonymi oczami i trochę głupim, bo na poły nieobecny wyrazem twarzy. I wtedy właśnie podniosła do warg wielki zapocony kielich, wypełniony skrzącym się szampanem Mumma, połączonym z koniakiem Martela.

– O... o... co za ulga! – wyaplała. Potem, odchyliwszy główkę wypila za jednym zamachem niemal połowę tego wybuchowego płynu. – Dziwne – powiedziała, odstawiając kielich – ja wciąż nic nie czuję.

To była ostatnia jej trzeźwa uwaga. W następnej chwili zobaczyłem w jej oczach reakcję, na którą tak czekałem. W oczach tych już nie było niewinnej prośby: błagam tylko mnie nie potargać. Było w nich całkiem co innego.

– A pan radca nie dotrzymał słowa... Obiecał pan opowiedzieć, dlaczego uważa siebie za... złego człowieka? – spytała płaczącym się już językiem.

Wtedy odrzekłem...

Nie braknie mi cywilnej odwagi, żeby teraz spokojnie powtórzyć ówczesne moje słowa i do nich się przyznać. Aż mnie skręca, aż doznaję czegoś w rodzaju mdłości z obrzydzenia, i mam wrażenie takie, jak gdybym przygotowywał się do publicznego popełnienia jakiejś skandalicznej niegodziwości. Bo tak jest istotnie. Proszę sobie wyobrazić człowieka, który postanowił przejść się goły po Marszałkowskiej. Lepiej w porę zawrócić, lepiej, póki czas, zapiąć się na wszystkie guziki. Cóż, kiedy po stokroć przeklęta rzecz, to moje nieszczęście i bieda, o której już tyle razy napomykałem, wymaga ode mnie, żebym poddał się autowiwsekcji. Pcha mnie i pcha. Pozbyć się tej rzeczy jest dla mnie ważniejsze od wstydu osobistego. Czerwony jak burak, z latającymi oczami, drastycznie skonfundowany – zaczynam powoli na oczach mych czytelników zdejmować z siebie ubranie.

Żółta fizjonomia księżycy nadal krzywiła się bez sensu nad oceanem, odbijając się fosforyzującymi pytajkami w czarnej toni wód – wód, w których podobno aż się roiło od rekinów. Niskie niebo było też czarne jak atrament i bez żadnej gwiazdki. Z boku skały stanowiącej jakby platformę, na której mieścił się parterowy budynek restauracji La Pergola, wznosiło się kilka pokręconych afrykańskich drzew, o jakby wynaturzonych koronach, prawie bez listowia i usianych olbrzymimi kwiatami – o ile można było w świetle elektrycznym dojrzeć – pąsowego koloru. Na platformie tuż obok stolików kręciły się i podrygiwały nogami jakieś pary. Byli to francuscy koloniści, wszyscy w bieli. Pamiętam nawet, jaki to był taniec: wówczas w modę wchodził lambeth-walk. Głośnik adapteru, ustawiony na dachu restauracji, śpiewał dość ochryple, a pary schodziły się i rozchodziły, grożąc sobie paluszkami. Między łopatkami i pod pachami tancerzy wystąpiły plamy potu. W przerwach między taktami muzyki rozlegało się cykanie hałaśliwego świerszcza tropikalnego. Powietrze było rozgrzane do niemożliwości i całkiem zastygłe. Taka rzecz jak podmuch wiatru była tu zupełnie nie znana.

– Dlaczego... Dlaczego pan radca uważa siebie za... złego człowieka?... – powtórzyła Wisia, przechyliwszy się piersiami nad stolikiem i patrząc na mnie swym mętnym a zarazem jakby gołym wzrokiem.

I wtedy coś jej na to powiedziałem. Powiedziałem, trochę tylko unosząc głos, bo muzyka taneczna była akurat ściszona i można było jej nie przekrzykiwać. Powiedziałem jednak dobitnie i niemal skandując każdą sylabę. Oczywiście, nie troszczyłem się o to, czy ktoś może nas podsłuchiwać – nikt przecie tu nie rozmawiał po polsku.

– Panno Wisiu – rzekłem miękko – pani jest kurwą.

Tańczące pary wciąż schodziły się i rozchodziły, wciąż wygrażały sobie paluszkami. „No, zdaje mi się, mam ją w kieszeni!” – pomyślałem, szukając na jej twarzyczce śladów wrażenia, jakie słowa moje musiały wyrzucić. Tu muszę wyznać, że wypowiedziałem je nie po raz pierwszy w życiu. Zauważyłem bowiem, że każda dobrze wychowana kobieta lubi, gdy się ją porównuje – delikatnie mówiąc – z ulicznicą. Podejrzewam nawet, że dobrze wychowane kobiety w pewnym, nie bardzo czystym sensie ulicznicom zazdroszczą. Zresztą może istnieje i głębsze wytłumaczenie. Może działa na nie lapidarna ordynarność wyrazu. Bo z pewnością, gdybym użył oględniejszego słowa, dajmy na to: prostytutka lub ulicznica, efekt byłby inny. Słowa te zabrzmiałyby po prostu obelżywie. Natomiast słowo, którego użyłem, mimo całej swej ordynarności, a może też właśnie przez nią – miało wstrząsającą, zmysłową intymność... Zresztą i takie wytłumaczenie nie jest kompletne, ta paskudna sprawa jest złożona – i tylko jedno wiem na pewno, że Wisia, aczkolwiek wstrząśnięta, na mnie bynajmniej się nie obraziła.

– Co-o? – spytała i zaraz urwała.

Twarcyzka jej ściemniała, zaczerwieniła się widocznie aż po korzenie włosów. Dopiero teraz była prawie gotowa, prawie zupełnie pijana. Ale zamglony i przeto jakby białawy wzrok raz po raz odpowiadał na moje spojrzenia. Nie omyliłem się: mimo że

zaledwie przed kilkoma miesiącami zdała maturę, była już dojrzałą kobietą. Zawołałem kelnera i zażądałem rachunku.

– Pani wie, dokąd ja się tak śpieszę? – zapytałem.

Kiwnęła głową. Wiedziałem, że wie.

– Dokąd? – spytała mimo to nietrzeźwym głosem.

– Do hotelu. Razem z panią. Śpieszę się, bo czas ucieka i za parę godzin statek odpływa.

– Razem ze mną?... – powtórzyła.

Szampan i koniak robiły swoje. Obawiałem się nawet, czy nie przesoliłem. W istocie, kiedy pomogłem jej wstać, krzeselko spadło za nią na ziemię.

– Te lampiony się kręcą... – poskarżyła się i niemal zsunęła mi się na ramię.

Wstrętna, niemoralna scena. Jeden z tańczących, wysoki kolonista lśniący od potu i w tropikalnym hełmie, którego nie wiedzieć czemu nie zdjął z głowy, mimo że była noc i księżyc poparzyć go nie mógł – ominął nas i podrygując kolanami pogroził Wisi wskazującym palcem. Skądsis wyłonił się czarny boy, szybko się zgiął i postawił krzeselko na miejsce. Mignęły też gdzieś białe wąsy kelnera, przypominającego Clemenceau. Zrobiliśmy z Wisią parę niezgrabnych kroków. Ale kiedy przechodziliśmy obok pustego stolika, Wisia znowu zawadziła o krzeselko. Niemal że ze mnie zwisała.

– Panie radco – wypaplała słabym i po pijanemu drżącym głosem – dlaczego pan mnie tak nazwał?

Ale nie miałem czasu na ceregiele. Mocno trzymając ją pod ramię i udając, że nic takiego się nie stało, wyprowadziłem za bramkę na szosę. Czekąło tam pięć albo sześć taksówek. Teraz Wisia zaczęła się śmiać. Wszystko ją bawiło. I księżyc żółty jak Chińczyk, i pokraczne drzewa, i cykanie świerszcza. I pot strumieniami spływający po jej ramionach. Nawet to, że wsiadając do auta podarła o rączkę drzwiczek swą koronkową sukienkę.

– Acha, cha, cha, cha!

Zasadniczo nie lubiłem śmiejących się kobiet, zwłaszcza w chwilach, gdy im asystowałem i gdy zbliżaliśmy się do określonego, decydującego punktu: wydawało mi się, że śmiech przeczy zmysłowości, nie może iść w parze z uczuciem rozkoszy, która przeciwnie – zmusza nas do skupienia. Przeżywający rozkosz człowiek zawsze poważnieje.

– Proszę zaraz przestać się śmiać! – krzyknąłem.

Ucichła. Wydało mi się, że traci resztę trzeźwości. Pęd powietrza – mknęliśmy naszą taksówką z szybkością co najmniej stu kilometrów – bynajmniej jej nie ocucił. Tam i ówdzie czerniały palmy: jechaliśmy zawiłymi festonami szosy, nad samym brzegiem oceanu. Powiedziałem do kierowcy Murzyna, by zawiózł nas do jakiegoś porządnego hotelu.

– Oui-oui, monsieur-monsieur! – odpowiedział.

Porządny hotel, do którego nas zawiózł, nie był jednak pierwszorzędny. „Może to i lepiej”, – pomyślałem. Tu na nas będą patrzyli przez palce... Wskoczyłem z auta na chodnik i wbiegłem po schodach do westybuli hotelowego. Za kontuarem wachlowała się wachlarzem z palmowych liści jakaś senna, ziewająca madame, prawdopodobnie otyła żona hotelarza. Za jej plecami na czarnej desce wisały klucze i widniały numery pokoi. Opowiedziałem jej naprędce sfabrykowaną historyjkę. Jestem, chere madame, pasażerem na statku, który dziś wieczorem tu zawinął. Płyniemy do Południowej Ameryki. Ale żona moja, biedaczka, tak chorowała przez całą drogę na morską chorobę, że lekarz okrętowy poradził nam zejść na ląd, żeby przynajmniej kilka godzin odpocząć w jakimś hotelu. Żona pragnęłaby czuć pod nogami twardy grunt, a nie uginającą się podłogę. Mieć pod sobą normalny materac, a nie ruchomą koję. Czy nie ma chere madame jakiegoś przewiewnego dwuosobowego pokoju, gdzie by mogła zmrużyć oczy przynajmniej przez kilka godzin, które pozostanie na lądzie?

– Mamy narożny – odpowiedziała senna dama. – Na pierwszym piętrze.

– Na piętrze! O Boże! Chere madame chyba żartuje. Żona jest w takim stanie, że nie potrafi iść po schodach. Może ma pani jakiś inny, na parterze?

– Na parterze pani będzie duszno, bo nie ma przewiewu. Ale jeżeli pan obstaje...

Wybiegłem niby to zaaferowany i zaniepokojony z powrotem, na chodnik i otworzyłem drzwiczki taksówki. Ku mej złości zobaczyłem, że Wisia była bliska zapadnięcia w sen. Zsunęła się z poduszek siedzenia i głowę odrzuciła w tył. Wargi miała rozchylone, oczy zaś przymknięte. Wydało mi się tedy, że istnieje tylko jeden środek, jeden sposób, by ją ocucić. Pocałunek. Pochyliłem się i nie zważając na szofera, pocałowałem ją w usta.

Od razu słabo się poruszyła i otworzyła oczy. Wtedy szepnąłem jej do ucha to samo straszne i wulgarne słowo.

– Aaach!... – westchnęła.

Śmiesznie i strasznie powiedzieć, ale westchnęła tak, jak gdybym powiedział do niej coś miłego i sprawiającego przyjemność. W istocie na poły się ocknęła i nawet spróbowała wysunąć przez drzwiczki nogę. Boże! Było to rozdzierające i wysoce nieestetyczne widowisko. Ale ja, autor tego, nie czułem wyrzutów sumienia.

– Malade-malade? – spytał czarny szofer i współczująco łysknął zębami. – Moi aider.

Chciał wysiąść, ale zapłaciłem mu i kazałem się nie ruszać. Błogosławiłem niebo, że było takie czarne, że spowijała nas ta atramentowa czerń. Z otwartych drzwi hotelu padał krótki, tępy promień światła i oświetlał tylko ganek. Uliczka była zaciszna. Stałem na stopniu auta i pochyliwszy się uchwyciłem Wisię pod pachy. Pomogłem jej wstać, a właściwie siłą uniosłem ją w powietrze. Potem wywlokłem przez drzwiczki.

– Czy możesz chodzić?

– Naturalnie, że mogę – odrzekła, jękając się.

Stąpnęła naprzód, potem jakoś w bok, a potem znowu naprzód. Szampan i koniak widać ją rozsadzały. Objąłem ją wpół i czując, jak głowa jej raz po raz zjeżdża mi po ramieniu, wciągnąłem ją po trzech schodkach. Teraz staliśmy w świetle palącego się w westybulu żyrandola, w polu widzenia siedzącej za kontuarem hotelarki.

Od razu nadałem swej twarzy wyrazu bólu. Nie zapomniałem, że byłem stroskanym mężem chorej na morską chorobę, nieszczęśliwej kobiety. Z początku wydawało mi się, że zachowujemy się z Wisią w sposób odpowiadający naszym rolom. Tak, jak należy. Ja – czujnie obejmujący Wisię wpół, ona – stawiająca niepewne, zmęczone krocзки. Ale widocznie z zewnątrz wyglądało to znacznie gorzej. Stara francuska dama aż wybiegła zza kontuaru i załamała pulchne ręce z brzęczącymi bransoletkami.

– Ależ ja nie wiedziałam, że to takie poważne, monsieur! – zawołała. – Trzeba natychmiast zatelefonować do doktora. Miłe, pocziwe dziecko, votre petite femme, jest przecie zupełnie nieprzytomna!

Wtedy dopiero zobaczyłem i zorientowałem się, że właściwie nie tyle pomagam Wisi iść, co dosłownie wlokę ją obok siebie. Nogi jej – w pajęczynkach i w białych pantofelkach bez obcasów – zwisały bezwładnie, płacząc się co chwila i utykając czubkami w dywan podłogi.

– Wiem, że to okropne, ale to nic – odrzekłem z tym samym udanym bólem i ze sztucznym uprzejmym uśmiechem. – Nie trzeba telefonować po doktora, broń Boże, dziękuję. Mamy naszego, okrętowego, który zresztą obiecał zaraz tu przyjść. Lada moment nadejdzie. Merci, madame.

Pobiegła przed nami i otworzyła kluczem drzwi do jakiegoś numeru. Zobaczyłem szerokie, typowo francuskie łóżko małżeńskie, zawieszone białą moskitierą. Chciałem co prędzej wejść do pokoju i zamknąć się na klucz, bo czułem, że hotelarka coraz podejrzliwiej nam się przygląda. Ale wtedy, właśnie w progu pokoju, stało się coś, co ją uspokoiło. Rozległ się dwukrotny szczękający dźwięk. Wyznam, że ja natomiast po raz pierwszy trochę

struchlałem i nerwowo przyjrzałem się Wisi. Twarz jej była biała jak jej sukienka i pantofelki. Rozwarła usta, i znowu rozległ się szczękający dźwięk.

– Niech pan zaprowadzi żonę do zlewu! – powiedziała Francuzka. – Niech pan podtrzyma jej czoło ręką. Prędszej, prędszej!... O, moja podłoga.

– Voilà! – odpowiedziałem po chwili i wolną ręką wyjąłem z kieszeni banknot. – To tymczasem za fatygę i nieporządek, madame. Ale to w gruncie rzeczy drobiazg, głupstwo, byleby to wszystko dobrze się skończyło. Oh, mon Dieu!

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI